

# Liberalizacja i głód

26 maja 2008

Od kilku tygodni media donoszą, że świat stanął w obliczu gigantycznej klęski głodu. Wszystko wskazuje na to, że jej rozmiary będą katastrofalne. Jeżeli w „normalnej” sytuacji co roku na świecie przybywa 4 miliony głodujących, to przewiduje się, że w tym roku liczba głodnych zwiększy się o 100 milionów (obecnie jest ich 840 mln). O ile zwiększy się liczba ofiar głodu, skoro wedle umiarkowanych szacunków „normalnie” codziennie umiera z tego powodu ok. 25 tysięcy osób?

Liczby są przerażające, ale niemniej straszne są komentarze, które towarzyszą narastającej katastrofie. Wśród kakofonii dobrych rad, które eksperci i ekonomiści podsuwają rządowi i konsumentom przekazów medialnych, na czoło przebija się postulat zniesienia subwencji dla produkcji rolnej. Usunięcie dopłat, którymi cieszą się przede wszystkim rolnicy z bogatej Północy planety miałyby przyczynić się do podniesienia konkurencyjności produkcji rolnej na Południu, a w konsekwencji napełnić portfele i brzuchy. Mało kto zwraca uwagę, że brzmi to zupełnie jak w postanowieniach tzw. rundy z Doha Światowej Organizacji Handlu (WTO): oto prawdziwie wolny rynek miałby ocalić głodujące ludy Południa. Czy aby na pewno rozwiązanie jest takie proste?

Zacznijmy od początku. Wbrew temu co się mówi i pisze, obecna katastrofa głodowa spowodowana jest nie tyle drożyzną na światowych rynkach artykułów spożywczych (choć skokowy wzrost cen jest oczywiście faktem), ile wymuszonymi przez politykę neoliberalną niskimi płacami na Południu. To brak pieniędzy (czyli inaczej mówiąc taniość siły roboczej), a nie wysokie ceny pozostaje barierą dla realizacji potrzeb żywieniowych w Afryce, Ameryce Łacińskiej i Azji. Wzrost cen mógłby być przecież korzystny dla rolników w Trzecim Świecie. Oznacza on odwrócenie tendencji spadkowej w tej sferze gospodarki, która w drugiej połowie XX wieku pociągnęła za sobą pięciokrotną

redukcję cen realnych. Spadek cen, który pogłębił się w konsekwencji liberalizacji handlu i zamrożenia wzrostu płac (narzucanych przez WTO, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy oraz rządy państw G8) pogorszył rentowność rolnictwa na Południu i przyczynił się do pauperyzacji rzesz chłopów. Dlatego właśnie dziś wepchnięta w biedę wiejska ludność Południa nie jest w stanie skorzystać z dobrej koniunktury na jej produkty. Chłopi zrujnowani liberalizacjami i niskimi cenami opuścili wieś w poszukiwaniu lepszego życia w miastach... i zasilili gigantyczne slumsy, padając ofiarą bezrobocia, niepewności, przemocy i beznadziei. Na liberalizacjach skorzystali tylko ci, którzy produkowali na masową skalę, i opłacało im się sprzedawać jak najtaniej: nowocześni farmerzy z krajów bogatych wspierani przez swoje rządy oraz wielkie korporacje działające w branży rolnej i sektorze biotechnologii. Dziś to oni korzystają na zwyżkach cen. Skorzystali także gracze giełdowi, którzy w chwili krachu na rynkach hipotecznych w USA i ogólnego kryzysu finansowego przerzucili się na pszenicę, co było jednym z głównych czynników wzrostu cen zbóż.

Sytuacja ta ma jednak także głębsze korzenie. Obecna klęska objawiła z całą jaskrawością wagę tego, co egipsko-francuski ekonomista Samir Amin nazywa nową kwestią rolną [1]. W pierwszej dekadzie XXI wieku światowe rolnictwo wciąż obejmuje połowę populacji planety (ok. 3 mld ludzi). Zaledwie kilkadziesiąt milionów z tej masy to nowocześni rolnicy, dysponujący maszynami, technologią, wielkoobszarowymi gospodarstwami i zdolnością do konkutowania na rynkach globalnych. Przepaść między nimi a masami chłopów z Południa, którzy są pozbawieni dostępu do owoców postępu i „zielonej rewolucji”, wzrosła do gigantycznych rozmiarów. Jeżeli jeszcze w 1940 r. różnica w poziomie produktywności między rolnictwem farmerskim na Północy a gospodarką chłopską Południa wynosiła 10 do 1 to obecnie wynosi ona 2000 do 1. W takich warunkach zniesienie subwencji na Północy nie ma większego znaczenia dla Południa. Olbrzymia asymetria nie tylko nie zniknie, ale

utrwali się, a nierówności ulegną pogłębieniu. Bezpośrednia konkurencja, o której marzą zwolennicy rundy WTO z Doha prowadzić może tylko do usunięcia resztek barier chroniących świat przed ustanowieniem całkowitego monopolu najbogatszych farmerów i korporacji biotechnologicznych. Pozbawiony dopłat francuski czy amerykański właściciel kilkudziesięciu czy kilku tysięcy hektarów może i straci coś ze swego dotychczasowego zysku, ale Afrykanin uprawiający hektar czy dwa za pomocą sochy i siły ludzkich mięśni straci wszystko. Taka globalna konkurencja to wyrok dla 3 mld ludzi. Nawet gdyby stał się cud i gospodarka światowa zaczęła się nagle rozwijać w tempie 7% rocznie, miasta i pozarolnicze sektory produkcji nie będą w stanie wchłonąć tej masy nawet w ciągu następnych 50 lat. W takiej perspektywie powtarzanie mantry o modernizacji i urbanizacji, które same wszystko załatwią jest zdecydowanie nie na miejscu.

Związek kryzysu żywnościowego z utowarowieniem produkcji rolnej, liberalizacją światowych rynków i kryzysem finansowym ma jedną dobrą stronę – wskazuje na drogi wyjścia z obecnej sytuacji. Dziś widać bardzo wyraźnie potrzebę walki o suwerenność żywnościową krajów Południa. Aby ją odbudować potrzeba zerwania z aplikowaniem zasad liberalnego fundamentalizmu w rolnictwie i konieczność powrotu do różnych form subwencjonowania produkcji żywności. Trzeba skończyć z traktowaniem żywności jak towaru i nadać jej status równy innym zasobom naturalnym o strategicznym znaczeniu dla przetrwania, i autentycznego rozwoju społeczeństw.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [„La Monde diplomatique”, nr 5 \(27\) 2008](#)

## **PRZYPIS**

[1] Zob. Samir Amin, Wirus liberalizmu, przeł. Agata Łukomska, Katarzyna Bieliska, wyd. Książka i Prasa, Warszawa 2007.